

## *Słowo wstępne*

Odrącony, potępiony, zmarły haniebnie – w istocie potajemnie zamieszkuje kulturę Zachodu i sprawuje w niej rządy.

I o tym właśnie będzie ta opowieść. O tajnym panowaniu wisielca, o jego szczególnej mocy, która się wciąż odnawia i restytuuje w kolejnych epifaniach, w kolejnych objawieniach. W objawieniach paradoksalnych nieraz i zaskakujących – tak jak zaskakujące są i same te bluźniercze rządy, o których mówię. A które, nie lękając się błędzenia po labiryntach bez wyjścia i nie dbając dość często o chronologię albo inny porządek formalny, trochę ruchem konika szachowego, a trochę gońca albo wieży, będę się starał na rozmaite sposoby, w rozmaitych miejscach i czasach, w rozmaitych opowieściach, ikonach i obrzędach, wytropić i prześledzić. I niekiedy, trochę niczym ptak przedrzeźniacz albo lirogon, odtworzyć, dopuścić je na pozór ponownie do głosu – po to tylko, by przeświecić ich straszną nicość.

Paradoks główny, z jakim mamy tu od razu do czynienia, polega na tym, że wisielec – nawet jeśli śmierć jego jest śmiercią samobójczą, zgonem z rąk własnych – ukazuje się nade wszystko jako ofiara przemocy. I, co więcej, jest nią rzeczywiście. Ale ponadto – tak jak każda zresztą ofiara – niesie w sobie tajemniczy „ładunek” sakralny, który z wielką siłą, siłą grozy i fascynacji, przekleństwa i uświęcenia, skupia całą naszą uwagę. Przykuwa nasze spojrzenie i naszą trwogę. Gra na strunach współczucia albo strunach odrazy. Zagarnia wyobraźnię. I staje się tym samym naczyniem, czy też narzędziem jakiegoś przemożnego sensu, a raczej może – sensów wielu, całej ich wiązki, niezależnie od tego, czy ujrzymy ją w rozszczepieniu, czy też łącznie, w jakimś mniej lub bardziej ścisłym zespoleniu składających się na nią pierwiastków. Tak więc, powtórzę to inaczej, niepowabnym, ale na swój sposób bezczelnym i wszechmocnym „bohaterem” tej książki jest wisielec – jedna z zasadniczych i najbardziej „wymownych”, obok topielicy czy wampira, figur śmierci w kulturze Zachodu, w jego wyobraźni i egzystencjalnej praktyce.

Wisielec bowiem to nie tylko zewnętrzny emblemat europejskiego doświadczenia śmierci i przypadkowy jakiś jego mieszkaniec, lecz trwałe i dojmujący stygmat. I zarazem postać wędrowna, ruchliwa, nieznająca spoczynku, ze wszech miar dwuznaczna, najeżona niepokojącymi ambiwalencjami, znajdującą się w stanie nieustannej symbolicznej transformacji i zarazem transformację tę sprawiająca, zdolna do przemieszczeń i przebrań. Wprawiona

więc w ciągły, pokrętny ruch, w wirowanie na wietrze i wielkiej historii, i zwyczajnego życia, zawsze skora do prowokacyjnej gry znaczeń, do oscylacji, do skrytego albo całkiem jawnego przejścia – między przedmiotem a podmiotem, między nicością a kulturą, między ofiarą a katem, między religią a polityką, między zbrodnią a karą, między poniżeniem a wyniesieniem, między grozą a fascynacją.

Nie zawsze nosi zatem ona „po wierzchu” barwy brutalne, nie zawsze szkicowana jest ciemną kreską. I bywa, że tańczy na sznurze, ku uciechu gawiedzi, przystrojona w błazeńską czapkę, aby runąć za chwilę w przepaść, niczym ów linoskoczek z *Tako rzecze Zaratustra*, obarczając nas koniecznością dźwigania trupa, którego jednak nie możemy nazywać – tak jak w filozoficznej powieści Nietzschego – swym pierwszym uczniem). Innym razem, choćby w kartach tarota albo w gotyckich opowieściach o „ręce chwały”, kusi nas tajemnicą i magią, jeszcze innym – jak w wypadku starożytnych „niewelnic miłości”, greckich mieszkank mitu – obiecuje w lekkim, motylim tańcu wyzwolenie i wolność: od przemocy i cierpienia, od nieznośnych ciężarów bytu i nieczułości bogów. A niekiedy, grymaśna i ironiczna, drażni i pobudza – dowodem, lepszego raczej nie trzeba, *Rękopis znaleziony w Saragossie* – nasze pragnienie herezji, zakazanych rozkoszy i egzotycznych transów, mistycyzmu i podejrzanego czaru, poigrania, nawet za cenę upadku i zatury, z mrocznymi a fascynującymi siłami.

Jednak, jak właśnie w genialnym romansie Potockiego, cały ten blichtr i zgiełk to tylko dekoracje i maski dla potwornej metafizycznej szczeliny.

jest taka szczelina  
gdzie umarli  
przemycani są przez granicę<sup>1</sup>

Wisielec zatem, wszędożyłski sługa nicości, jej podły wymysł, wielokształtny niczym Proteusz, odsyłając „w stronę śmierci” jako negatywnego warunku naszego istnienia, ujawnia swoistą przebiegłą grę, jaką owa nicość prowadzi z kulturą, boleśnie i zazwyczaj bezradnie usiłującą się oderwać od swego czarnego dna, od przesywającego ją niczym oścień przemijania i rozkładu, od rozsypywania się wszystkiego, całej urody świata, „w mgnieniu oka”, *in actu oculi*, jak opowie nam o tym piękny i straszliwy obraz Juana de Valdés’a Leala<sup>2</sup>[1]. Grę, w której obrębie wisielec „przemawia” nie jako przedmiot,

jako bezwolna kukła europejskiej kultury, lecz raczej jako podmiot i „agent”, sprawujący drastyczne i nieodparte rządy nad różnymi formami dyskursu. I w takiej właśnie roli – roli szydca czy suwerennego demaskatora rozczeń uczonego Rozumu oraz mieszczańskiego i stabilnego świata – ukazuje go choćby Breughel w *Tańcu pod szubienicą* oraz Rembrandt w swojej *Lekcji anatomii doktora Tulpa* albo poczynając od Baudelaire’a, „czarny romantyzm” czy też współczesna kultura masowa, o czym świadczą powieści Joanne K. Rowling bądź mroczne fascynacje Hannibalem Lecterem.

To zresztą nie tylko sprawa wyobraźni. Imperium wisielca to nierzadko przecież feeria rzeczywistej i potwornej przemocy, uprawianej przez rozmaite „imperia zła” i totalizmy, przez okrutne armie „nowego wzoru”, szaleńcze tyranie i państwa-partie. I przez nienawiść rozjuszonych tłumów, jak to było z łowami na czarownice, egzekucjami „niecnych” Żydów i „zdradliwych” Ormian czy powszechną praktyką linczu na amerykańskim Południu.

W obrębie dziejów nowoczesnych dwa szczególnie systemy takiej masowej zbrodni zasługują na „wyróżnienie”, choć nie będę się nimi w tym zbiorze szkiców szerzej zajmował, gdyż należy im się osobne i drobiazgowo badanie. Pierwszy to carska Rosja XIX stulecia, kraj szubieniczny i więzienie narodów, którego ikoną był między innymi Michaił Murawjow Wileński „Wieszateli”, według jego własnych słów pochodzący – jak chce anegdota z 1833 roku – z tych Murawjowów, którzy wieszają, a nie tych, którzy są wieszani<sup>3</sup>. Horrendalny przemysł śmierci, prokurowany przez Trzecią Rzeszę, z jego lasami szubienicy i masowością Zagłady, przesunął jednak od razu i brutalnie w głąb zbiorowej pamięci taką wizję Rosji. Wizję Rosji jako przestrzeni na swój sposób upiornie archaicznym i upiornie baśniowym, jako „carstwa cieni” (którym upajał się Fiodor Tiutczew) i miejsca „smuty”, beznadziei i złego czaru, gdzie „tylko wisielcy widzieli co nieco”<sup>4</sup>. Szubienice niemieckiego nazizmu i zbratanych z nim pomniejszych reżymów, stawiane wszędzie niczym złowieszcze i prowokacyjne wyznaczniki wiary, sprawiły bowiem, że teraz zobaczyli już wszyscy<sup>5</sup> – i wydawało się nawet, po ukręceniu karku Bestii, że trzeba było odpowiedzieć zaraz na ten las śmierci własnym już lasem. Wieszaniem na wieszanie. Taki stał się przecież, prawie w całej Europie, „krajobraz po bitwie”. Krajobraz przemienienia. Transformacji wisielca, zgodnie z odwiecznymi wzorami retribucji i zemsty, z figury zbiorowego i indywidualnego męczeństwa oraz dramatycznego wyzwania dla teologii „śmierci Boga” w figurę zbrodniczej hańby. I „słusznej sprawiedliwości”.